

Szefie, już szesnasta!

19 września 2008

Dla kogoś, kto pracuje w tak zwanej korporacji, godzina szesnasta nie odznacza się niczym szczególnym. Siedemnasta także. I osiemnasta. Dla niektórych szczególnym dniem przestaje być sobota, a piątek wcale nie powoduje miłego podniecenia.

Mnie to już wprawdzie nie dotyczy, ale jeszcze co nieco pamiętam. Piękne biurko, wygodny fotel, miękka wykładzina. Zegarek na rękę, zegarek w komórce, zegarek w komputerze, zegar wiszący na ścianie. Kompletnie nieprzydatne, bo pracownik korporacji czasu nie liczy. Pracuje, póki musi, póki wydaje mu się, że musi, ewentualnie póki w biurze siedzi jego szef albo kolega-rywal do awansu. Co sprytniejszy wyjdzie z pracy około dwudziestej, ale jeszcze z domu, o dwudziestej drugiej trzydzieści, wyśle do działu prawnego mejla (z kopią do szefa, rzecz jasna), że dokumenty w wiadomej sprawie wymagają jeszcze korekty.

Pracownik korporacji nie przywiązuje się do słowa urlop, bo nigdy nie wiadomo, czy takowy mu się przytrafi. Idealnym rozwiązaniem dla niego są oferty last minute, jako że wychodzą znacznie taniej niż rezygnacja z planowanego pół roku wcześniej wyjazdu. Słowo weekend też nie wywołuje u pracownika korporacji radosnego dreszczu – sobotnie ślęczenie nad dokumentami lub „szybkie” wizyty w biurze po jakimś czasie stają się normą.

Stereotyp? Przesada? Może odrobinę, ale proszę mi wierzyć, wiem, co piszę. Ktoś, kto nigdy nie spędził w pracy dwóch i pół doby bez przerwy, pewnie tego nie zrozumie. I popuka się znacząco w czoło. Słusznie, zresztą. Natomiast pracownik korporacji powie, żeby się od niego odwalić, bo po pierwsze, to on kocha swoją pracę (czytaj: firmę), a po drugie, to nie bardzo ma wyjście, bo na jego miejsce czeka długa kolejka

chętnych, którzy z przyjemnością wykreślą ze swojego słownika słowo urlop.

Przyczynkiem do tych refleksji stała się dla mnie wizyta w pewnym Wysokim Urzędzie oraz opowieść jednego z moich znajomych. Ale po kolei...

PANI KASIU, PROSZĘ MNIE POŁĄCZYĆ...

Parę dni temu udałam się na spotkanie z pewnym wysokim urzędnikiem państwowym (nazwiska i stanowiska ze zrozumiałych względów nie wymienię). Spotkanie wyznaczone zostało na godzinę 16.00, więc ja, jako osoba dobrze wychowana i punktualna, przybyłam nieco wcześniej. Za kwadrans szesnasta zasiadłam w skórzanym fotelu stojącym w wyłożonym marmurem hallu i grzecznie czekałam. Około 15.50 na marmurowych schodach wiodących ku wyjściu rozległ się stukot obcasów. Wielu obcasów. Urzędniczki i urzędnicy stadnie opuszczali budynek. Po spokoju na twarzach można się było zorientować, że nie była to próba ewakuacji urzędu, ale po prostu koniec pracy.

O szesnastej zostałam przyjęta. Sekretarka wprowadziła mnie do biura mojego gospodarza, podała wodę i dyskretnie znikła za drzwiami. O szesnastej trzydzieści zaczęłam się zbierać do wyjścia. Mój gospodarz odprowadził mnie do sekretariatu i stojąc w progu zakrzyknął: „Pani Kasiu, proszę mnie połączyć z...” Głos uwiązł mu w gardle. Pani Kasi już nie było. „A prawda – uśmiechnął się nieco zażenowany – przecież już po szesnastej.”

SZEFIE, JUŻ SZESNASTA!

Druga opowiastka nie dotyczy rzeczywistości urzędniczej, ale jak najbardziej korporacyjnej. Tyle, że w całkiem innym kraju. Jeden z moich znajomych jest szefem filii pewnej korporacji w Republice Czeskiej. Pracuje tam blisko rok, ale wciąż jest w ciężkim szoku, jaki mu zafundowali jego czescy pracownicy. Proszę sobie wyobrazić jego zdumienie, kiedy wychynąwszy ze

swego biura około godziny siedemnastej, zorientował się, że jest w firmie... całkiem sam!

I na nic się zdały próby „nawrócenia” Czechów na polskie wzorce korporacyjne. Na nic wydawanie poleceń służbowych o godzinie piętnastej pięćdziesiąt. Nagabywany pracownik patrzy tylko z wyrzutem, stuka wymownie w zegarek i mówi: „Szefie, już szesnasta!” Lenie i obiboki? Ależ skąd! Mój znajomy mówi: „Właściwie nic im nie mogę zarzucić. W pracy są rzetelni, lojalni, świetnie zorganizowani. Tylko za nic nie mogę ich nakłonić, by pracowali nieco dłużej niż ta magiczna godzina szesnasta. Nawet moja asystentka wychodzi wtedy niemal bez uprzedzenia.”

I KTO MA RACJĘ?

No, właśnie. Kto ma rację? Rozważny czytelnik pewnie powie, że należy szukać złotego środka. Że żadna przesada nie jest dobra. Że na pochwałę nie zasługuje ani chorobliwy pracoholizm, ani wychodzenie z pracy z wybiciem zegara bez względu na wszystko.

Ale ja powiem przekornie: jestem całym sercem za panią Kasią i Czechami. Bo praca to praca, a poza nią jest całe, przebogate życie. I fajnie, jeśli może się ono zaczynać o szesnastej. Tyle, że mnie jest łatwo gadać – już nie pracuję w korporacji.

Autor: Beata Biały

Źródło: [Wiadomości 24.pl](http://wiadomosci.24.pl)